

**WIERZYM**

**W WOLNOŚĆ**



Antologia opowiadań  
o prawach człowieka

AMNESTY  
INTERNATIONAL



Wydanie 1

Skład: 180heartbeats + JUNG v MATT

Redakcja i korekta tekstu: Katarzyna Szarafińska

Copyright: Amnesty International Polska

2020

# WIERZYM W WOLNOŚĆ

**Antologia opowiadań  
o prawach człowieka**  
na 30-lecie  
Amnesty International w Polsce



# SOLTVADKERT

MICHAŁ OLSZEWSKI



# 1.

I teraz zaczynam się naprawdę bać, że ktoś mi zajebie w łeb tępym narzędziem, wbije zakrzywiony nóż w serce, ograbi, zabierze kluczyki, uprowadzi wartościowe auto i tyle będzie z tej przygody. Rzucą się całą bandą, Marinę zgwałcą, nas pobiją i obiorą do naga z ubrań, a potem zaciągną w ruiny i ukamienują albo poderzną gardła. I nikt nas nie znajdzie, i nie doczekamy się nawet złamanego materiału w telewizji państwowej, potwierdziły się nieoficjalne doniesienia, w dawnym dole po wapnie znaleziono zwłoki. Bo przecież dziennikarze wyjechali stąd już dawno i nie mają powodu, by wracać.

Ale nic takiego się nie dzieje. Wychodzą z ciemności w pojedynkę i grupami, ziemniaczane kształty o pół tonu jaśniejsze od ciemności, wyciągam profesjonalną latarkę – prezent urodzinowy od syna, 625 lumenów, jest tak mocna, że można nią oslepić (fajny gadżet).

– Świeć po nogach, żeby policja nie przyjechała – prosi Marina.

Świecę więc po nogach latarką, to wystarczy, żeby zobaczyć umęczone twarze mężczyzn, rozgorączkowane albo skamieniałe ze stresu, a oni zaczynają naraz gadać narzeczem, o istnieniu którego nie miałem dotąd pojęcia, to zapalają, to gaszą bez sensu latarki w telefonach, jakby latały wokół nas świetliki, widzę, jak z ruin majaczących na tle lutowego nieba nadlatują kolejne. Wyciągają ręce spod koców, gestykulują, mają jakieś sprawy,

o których chcą opowiedzieć. Marina odpowiada cierpliwie, uspokajając gęstniejący tłum mężczyzn.

– W jakim to języku? – pytam Micka.

– W pendżabskim – odpowiada, i otwiera drzwi vana, a przez noc przechodzi pełen akceptacji pomruk. – Świeć tutaj, nisko.

Marina wyjmuje swoją latarkę i kawałek kartki, po czym zaczyna wyczytywać imiona:

Kadir,

Suraj,

Omar,

Sabih,

Salah,

Zahir,

Tamer,

Aziz,

pomruki to milkną, to wzmagają się, zależnie od wielkości paczki. Przez folię widać buty, koce, kurtki, bandaże, opatrunki, wedle życzenia. Z ciemności wyłaniają się ręce, czasem całe postacie, mówią coś, chwytają pakunek i znikają pośpiesznie. Paczki rozchodzą się błyskawicznie: kilka minut i jest po sprawie. Tłum wokół auta rzędzie, chce się już zbierać, ale Marina rozmawia



z kimś w ciemnościach.

– Jedźmy stąd, zmęczony jestem, zaraz padnę na ryj – proszę.

– Czekaj, czekaj, bo jest jakiś temat – uspokaja Micek. Marina podchodzi do nas i mówi, żeby zamknąć auto, bo w jeszcze jedno miejsce musimy podejść.

– Tam? – wskazuję głową na ruiny.

– Tam, na chwilę – odpowiada Micek, a ja naprawdę czuję się nie-swojo i najchętniej sprzedałbym mu liścia soczystego, bo czuję, że wciągnął mnie w kabałę, z której trudno będzie się wykaraskać, ale idziemy po grudach, po ziemi zmarzniętej na kość, świecę latarką nisko, czasem brzęknie jakaś puszka, tu papier, tam kłęb szmat, zajebista latarka, myślę, dobrze, że jestem ciepło ubrany, Marina z przodu z przewodnikiem, ja i Micek nieco z tyłu, wchodzimy w końcu do budynku przez zasłonięte kocem drzwi, a tam  
(piekło, dno piekła)

w ciemnych jamach pomieszczeń, ledwo rozświetlanych blaskiem ognisk palonych na betonowych podłogach, leżą ludzie okutani kocami, pozwijani w pozycjach embrionalnych, blisko siebie, żeby przyoszczędzić trochę ciepła. Śmierdzi niemytym ciałem męskim, kocem przesiąkniętym wilgocią,

(zachoruję, zarazę się)

palonym plastikiem, dym wypełnia pomieszczenia, co, kurwa, jak, przecież udusić się można, ale tu ludzie żyją, ktoś chrapie,

ktoś majaczy, ktoś podnosi się na łokciu na nasz widok, cienie przy ogniu gotują coś w blaszance, ożywają na chwilę, krzyczą, wskazując w kąt pomieszczenia, tam, gdzie góra ubrań i suchy, sypki kaszel, Marina kuca, rozgarnia koce, światło latarki wydobywa półprzytomną twarz młodego chłopca, Marina próbuje coś do niego mówić, chwyta go delikatnie za łokieć, ale kontakt jest utrudniony, chłopak dygocze i kaszle, jakby w gardle miał kłęb suchych wiórów i wzbijały się one za każdym wciągnięciem powietrza, powtarza coś kilka razy w miarę przytomnie, a potem znowu odpada,

(zachoruję, złapię coś, na sto procent).

– Wrócił tu z granicy w skarpetach, i tak cud, że stóp sobie nie odmroził. Trzeba go zabrać do miasta, bo do rana różnie może być – mówi Marina. Zaczyna coś podniesionym głosem tłumaczyć mężczyznom siedzącym przy ogniu, oni coś odpowiadają, dołączają inni, rozpoczyna się kolegialny sabat, puścić chłopaka, nie puścić, głosy spod koców, z różnych kątów piekła, ktoś kaszle, ktoś świszczy, w końcu zapada decyzja, dźwigamy wspólnymi siłami chłopaka z barłogu, potem bierzemy go z Mickiem pod rękę i prowadzimy do auta

(pewnie ma wszy, trzeba będzie tapicerkę dezynfekować, wszy albo świerzby, po co ja tu),

chłopak jest rzeczywiście ledwie żywy: słania się na zgiętych nogach jak po heroinie, mamrocze coś niezrozumiale. Rzucam na tylne siedzenia kawał grubej folii, chłopak wsiada, Marina przy

nim, słyszę, jak rozmawia karkołomnym łamańcem z lekarzem, prosząc o interwencję.

Palę przy aucie. Gwiazdy migoczą porozumiewawczo, jakby coś wiedziały. Mróz coraz większy, w górze niebo czyste i gwiazdy, jakich dawno nie widziałem. Przedłużenie odcinka łączącego dwie tylne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy naprowadza na Gwiazdę Polarną. Najkrótszy odcinek pomiędzy Gwiazdą Polarną a horyzontem wskazuje północ, co oznacza, że Węgry leżą gdzieś tam, za ciemną drogą i skąpo oświetlonymi zabudowaniami.

Mimo późnej pory ruiny nie śpią: stojąc przy aucie słyszę szmery, rozmowy, szurania, jakby ktoś ciągnął wielką gałąź po zmarzniętym błocku,

– Do minus piętnastu zejdzie jak nic – mruczy Micek.

Wracamy do miasta

(co ja tu, po co, zachoruję).

## 2.

Micek, drobny, żwawy jak domokrażca, przyjaciel wesołego diabła z włosami w planowym odwrocie, zadartym nosem, zimą w niezniszczalnym czarnym windbrejkerze, a od wiosny do późnej jesieni w bluzie z kapturem, pojawia się w moim życiu raz na jakiś czas, wywołuje problemy, następnie je rozwiązuje, a potem znika na czas dłuższy. Nie mam za bardzo czasu, żeby nazwać to, co od zawsze nim targa. W każdym razie zamiast siedzieć jak pan Bóg przykazał na tyłku, Micek wydawał w swoim życiu jedzenie bezdomnym na ulicach w Atenach, pracował jako wolontariusz na północy Libanu, woził pomoc humanitarną na Ukrainę, zakładał w Krakowie skłot, a następnie wyciągał z aresztu jego mieszkańców, organizował demonstracje przeciwko, za i w każdym innym celu, generalnie: pchał łapę w drzwi.

Jedno się nie zmienia: czasami wpada do mnie po niezobowiązująco pożyczkę.

# 3.

Subotica tonie w ciężkim śnie, przygnieciona smogiem i mrozem. Śpią na poboczach zastawy i yugo, śpią stare domy z oblażonymi tynkami, śniąc o dawnej wielkości. Miasto wygląda, jakby ktoś wcisnął pauzę w procesie modernizacji i poszedł gdzie indziej. Na ulicach pusto, pochowali się wszyscy, światła w domach nieliczne i przydymione.

Lekarz przyjmuje w domu jednorodzinny na obrzeżach. Ma już swoje lata i nieruchomą, beznamiętną facjatę mężczyzny, który niejedną rzeź oglądał z bliska. Wyciągamy półprzytomnego chłopaka z auta, leje się przez ręce, w świetle widzę, że jest chyba niewiele starszy od mojego syna

(syn gra w gry za dużo, trzeba zadzwonić, skontrolować, żeby znowu do rana nie siedział),

ma drobną, piegowatą i bladą twarz, oczy o niespotykane zielonym odcieniu i ciemnorude włosy posklejane od potu. Rozebrany do pasa, trzęsie się jak osika. Lekarz mówi coś po serbsku, potem wtrąca kilka słów po angielsku, wystarczy, by zrozumieć, że młody nabawił się zapalenia oskrzeli, które lada chwila rozwinie się w zapalenie płuc. Plus skrajne wycieńczenie i murowana anemia. Piękny koktajl. Żaden szpital, jasna sprawa, go nie przyjmie. Ręce ma w dziwnych bliznach, jak po oparzeniach

(ani zostawić, ani odesłać, piekło jakieś).

– U was na górze jest pusty pokój. Tam go weźmiemy. Napalimy w piecu, damy ubrania nowe – decyduje Marina. Lekarz wzrusza ramionami, znika za drzwiami, skąd wraca z reklamówką leków. Nie chce wziąć od Mariny pieniędzy.

Choroby, choroby zakaźne, auto zajebiste do dezynfekcji z pewnością, może trzeba go było zostawić w ruinach, młody jest, wykaraska się w końcu.

Mojego vana parkujemy na podwórzu domu jednorodzinnego, skrytego za wysokim murem i masywną bramą, kilka minut od Targu Mlecznego. Posesja przypomina fortecę gotową na odparcie ataku, podobnie jak wszystkie sąsiednie

(zarazi nas na sto procent).

Dom jest nieogrzewany; na wykładzinach naniesione błoto, w zlewie talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia sprzed wieków; pełno zapomnianych ubrań, w przedpokoju piętrzą się niedobitki pomocy żywnościowej made in Poland, kukurydza w puszkach, dżemy i chrzan, jakby uchodźcy zagubieni w śniegach marzyli o polskim chrzanie właśnie. Mieszka tu z różną intensywnością załoga wolontariuszy, z którą obecnie przestaje Micek, mój kolega z liceum jeszcze, niespokojny duch

(którego bym w tej chwili zarznął tępym nożem).

Marina wyszukuje po torbach ubrania, ja rozpalam w piecu drewnem i węglem przyniesionym z szopy, Micek nalewa do poźółkłej wanny wrzątku z termy i grzeje dodatkowo dwa gary wody

na kuchence. Całkiem sprawnie nam idzie. Po lekach chłopak zaczyna odrobinę kontaktować. Na tyle, że jest w stanie sam wejść do wanny, nie pozwalając wszakże odebrać sobie telefonu, (zupełnie jak mój syn).

Stare ciuchy pakujemy do worka i wyrzucamy za drzwi.

Wykąpany, w przypadkowych ciuchach, przypomina trochę turystę ze schroniska górskiego: gruby sweter, pumpiaste dresy, na stopach narciarskie skarpety, na skarpetach odrobinę przy-ciasne klapki kubota. Kaszle okrutnie, jakby chciał zwymiotować płuca. Łyka wszystko, co podsuwa mu Marina, błaga po pendżab-sku o ładowarkę do nokii, pije herbatę z naszym polskim sokiem udającym malinowy i idzie spać pod pięć warstw śpiworów.

# 4.

Kilka dni temu Micek wpadł do biura z kolejnym tematem, jak po ogień. Piątka, piątaczka, miś, stary, co u ciebie, a, jakoś leci, roboty po szyję, kawy ci zrobię, czekaj, nieźle idzie, a co u ciebie, i tak dalej. I do rzeczy. I co u ciebie, tak będziesz pleśniał w tym biurze?

Weź, Micek, ja koordynuję. 30 kierowców. Auschwitz, Kraków, Auschwitz i tak w kółko, pierwszy kurs o 6.30, przewodników profesjonalnych zatrudniam, żeby o włosach i tych butach opowiadali, naprawdę jest co robić, interes, nie powiem, kręci się pięknie, z roku na rok coraz lepiej, naprawdę nieźle perspektywy. Jest temat. Jasne, inaczej byś nie przychodził, dawaj.

– Auto mi się wysypało, a ludzie w potrzebie – przeszedł do rzeczy.

– Jacy ludzie?

– No, ludzie. W Serbii.

– Gdzie?

– W Serbii, ale tej niedalekiej, przy granicy z Węgrami. Miałem jechać z transportem, ale pompa paliwowa siadła w turanie teściowej i masz. Dupa zbita. A tam czekają, obiecałem znajomym. Pozamarzają i tyle z tego będzie – pokiwał głową.

– Micek – poirytowałem się. – Micek, przestań nadawać rebusy, powiedz, co i jak?

– A ty gazet nie czytasz? Nie wiesz, co tam się dzieje?



– Ja nie mam czasu czytać o Serbii, sorry. Głównie wiadomości lokalne interesują mnie ostatnio i serwisy komunikacyjne, czy drogi pablokowane, czy ruch odbywa się płynnie. A, jeszcze poradnik podatnika.

– Uchodźcy.

Uchodźcy. Słowo jak kilof, jak głuchy plusk ciężkiego kamienia wrzucanego do wody. Uchodźcy, matko z synem. Po takim słowie w towarzystwie na moment zapada niezręczna cisza, zanim rozwiążą się języki. Przypomniałem sobie, jak szturmowali latem granicę węgierską, barierki, żołnierzy, policję, polewaczki. Uchodźcy. Niebezpieczeństwo. Choroby. Jakieś niezrozumiałe wojny, których nigdy nie miałem czasu zrozumieć. Negatywna rola Rosji. Nieuniknione zderzenie kultur. Gdzie wasze kobiety? Sami zdrowi mężczyźni. Test na nasze człowieczeństwo. Wędrówka ludów z biednego Południa na bogatą Północ, czytałem przecież kiedyś, nie jest tak, że człowiek w ogóle nie czyta.

Micek patrzył na mnie wyczekująco, z lekkim uśmiechem, ja zaś uciekłem w kawę, gorącą, taką, którą pije się ostrożnie i ze wzrokiem wbitym w brzeg kubka.

– Myślałem, że już po temacie. Że sobie poszli – powiedziałem w końcu.

– Większość. Zostały niedobitki, i o nich mowa. Nazbierałem butów i kurtek po znajomych, wyszło kilkanaście worków. Trzeba to zawieźć, bo zima tam kurewska, pozamarzają na śmierć,

a sam bym zawiózł, tylko teściowej turan...

Się popsuł. Za każdym razem, kiedy Micek ma trudny temat, coś mu się psuje. Potrzebował pieniędzy na swoje działania charytatywne, na podróże do biednych Ukraińców, Litwinów, polskich Litwinów i litewskich Polaków, Słowaków, Cyganów i Marsjan, podróże, które nie zmieniały przecież niczego, chyba że poprawiały jego samopoczucie na lepsze. Woził chińskie zupki, makaron w ilościach hurtowych, zbierał po ludziach jakieś stare ciuchy i strasznie był, kurde, z siebie zadowolony.

– W zamszowych się wkręciłeś, Micek? – siorbnałem kawę. – Wiesz, mam swoje zdanie...

– Tak, właśnie w zamszowych – odpowiedział niedbale i wyciągnął przed siebie nogi. – W zamszowych, ciapatych, beżowych, jak ci tam wygodniej. Zima, panie, coś trzeba robić. To co, pożyczysz auto?

– Dla ciebie wszystko, ale nie ma mowy.

– O, a dlaczego nie?

– Bo to nie mój temat, rozumiesz? Nie moja rzecz w ogóle. Za daleko dla mnie.

– Jak za daleko? Jeden dzień drogi. W piątek rano wyjeżdżasz, w niedzielę w nocy jesteś z powrotem.

– W innym sensie za daleko. Nie dam ci auta.

Micek nie rozumiał lub udawał, że nie rozumie. Czoło zmarszczyło mu się ze zdziwienia.

– Ale dlaczego? Nie zbiedniejesz, a możesz przydać się na coś więcej niż ustawianie kursów do Auschwitz. Daj jakiegoś rzęcha, w trzy dni się uwinę i po sprawie.

Co mogłem odpowiedzieć?

Silni. Zdrowi. Młodzi. Czego się tu pchają, skoro nikt ich nie chce. Mało to mamy swoich biednych i swoich problemów. Ja nacjonalistą nie jestem, ale jednak. Są wśród nich terroryści. Wiadomo, że tragedia, no wiadomo, ale to zdjęcie z martwym dzieckiem wyrzuconym na brzeg to pic na wodę podobno, było zupełnie inaczej. A jedna muzułmanka, jak był zamach na moście w Londynie, śmiała się do telefonu. Człowiek jest człowiekiem, trzeba pomagać, ale to jest jednak skandal. A niech wracają do siebie, nawet na piechotę. Tak właśnie. Czy jakoś tak.

Ale milczałem, żeby nie sprawiać mu przykrości, bo przecież chłopina znowu zaangażował się w przegraną sprawę. Popatrywałem to na kawę, to na kolegę, któremu dawno już czwarty krzyżyk wyrósł na plecach, a nadal chciał zbawiać cały świat, zamiast dbać o ogródek, płacić podatki i mościć się w swoim małym dobrobycie, to bawiłem się telefonem, to wypatrywałem za oknem końca zimy zbudowanej z szarówki i zero plus.

– Tak że ten – westchnąłem w końcu.

– Tak. No to tak – Micek pokiwał głową, dopił kawę, po czym

pożegnał się ze mną misiem i piątką, ale bez szczególnego entuzjazmu.

A wieczorem siedziałem w swoim zajebistym domu, z fajną rodziną dwa plus dwa, zajebistym kotem rasy van, raz się żyje, szumiącym uspokajająco zestawem zajebistych sprzętów domowych i zajebistymi perspektywami, coś tam sobie od niechcenia sprawdzając. Rzeczywiście, na granicy Unii nadal koczowały niedobitki tamtej fali, organizacje pomocowe prosiły o wsparcie ze względu na dramatyczną sytuację. Dobrze mi było i nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Było mi dobrze, naprawdę. Nic mnie nie dręczyło, chociaż zawsze trochę przykro, gdy ktoś zamarza. Telewizor grał, dzieci zasypiały. Strefa komfortu funkcjonowała bez zarzutu, wszyscy kierowcy wrócili bez problemu do domu, plik z rezerwacjami na wiosnę i lato wypełnił się niemal do końca. Czego ten wariat chce? Wakacje, najchętniej w ciepłych krajach, z niczym niezmaconą linią horyzontu, pustą plażą. Są takie i stać mnie na nie. Zasłużyłem. Zasłużyłem przecież. Ludzi szkoda, jasne, ale co ja mogę. Tak miało być. Wszystko trzeba było pazurami wydrapać, od zera. Auschwitz, Wieliczka, 30 kierowców, nikt ci tu niczego za darmo nie da. Żebyśmy tylko zdrowi byli.

Mniej więcej w okolicy ostatniego papierosa, wiem, niezdrowe, naprawdę w końcu rzuć to świństwo, telefon bzyknął ostrzegawczo. Micek, mój przyjaciel, skurwiel i szantażysta, wysłał zdjęcie odmrożonych męskich stóp. Stopy płonęły purpurą, a na palcach gęsto było od nabiegniętych mętną ciecżą pęcherzy. Skóra w górę od kostek miała siny, wchodzący w czern kolor.

Do tego esemes. „Daj chociaż jakieś buty zimowe, co ich nie używasz, palancie. Podjadę do ciebie, jak skombinuję auto, może szwagier pożyczy”.

Gnojek, szantażysta, specjalista od uderzania w czułe punkty.

## 5.

Młody śpi, a my idziemy jeszcze coś wypić w niezobowiązującej atmosferze i zjeść kevacici, podobno najlepsze w Serbii, tak mówi Micek, mróz gryzie w twarz, z kominów suną kłęby gęstego dymu. Popatruję na Micka. Zadowolony, pisze coś, załącza, wysyła, pomrukuje, uśmiecha się do siebie. Ulice krzywe, krzywe budki, chodniki i domy, bramy ciężkie, kute, poryglowane, że trzeba by je forsować czołgiem. Ślizgam się na płatach starego lodu. Pusto, daleko ktoś śpiewa chrapliwie, najebany jak działo.

W barze siedzą już Marina, która posiada chyba zdolność bi-lokacji, Vadim i jeszcze kilka innych osób, które zjechały się tu z całej Europy. Wszyscy mają w sobie coś, co sprawia, że wyglądają jak młodszy kuzyni Micka

(może wyglądałem kiedyś podobnie, tak może być).

Marina przyjechała z Londynu, Vadim z Kijowa, Mike z Kalifornii. To trzon niewielkiej organizacji pomocowej, która działa od trzech lat na granicy. Mieszkają w magazynach albo wynajmują zimne domki, zawalone pomocą humanitarną. Opowiadał mi o nich po drodze. Sortują odzież, wydając jedzenie, kursując dwoma starymi vanami po Dżungli. Dżungla to pola między miastem a płotem granicznym. Ruiny fabryk, opuszczone domy, rozległe trzcinowiska i w tej chwili stwardniałe od mrozu bagna, przygraniczne kantory i sklepiki, z których już dawno temu wyniósł się biznes, dziury wykopane w ziemi oraz rzadkie lasy na równi-

nie, brzegi zamrożonego jeziora Palić, bocznice z opuszczonymi wagonami. Wszędzie tam koczują grupy oczekujące na kolejny skok przez granicę. Dzieciaki kursują niestrudzenie pomiędzy miejscówkami, dowożąc jedzenie, ubrania i leki.

Można palić, kevapcici rzeczywiście świetne, rakija delikatnie kręci. Podpytuję, coraz odważniejszy wraz z każdym wypitym kieliszkiem.

Po co pchają się pod płot, za którym czekają policjanci z psami, skoro w Pakistanie sytuacja nie jest tragiczna.

Czy się nie boją?

Czemu sami faceci młodzi, skąd kasę mają?

Nie wiedzą, że nikt ich tu nie chce?

Niby tacy biedni, a telefony jakie, o proszę, pozadrościć można.

Jak rozróżnić uchodźcę od imigranta ekonomicznego?

Po co tyle butów?

Po co w ogóle tracą tu zdrowie, skoro i tak to niczego nie zmieni?

Czy nie obawiają się, że?

(chyba mam prawo pytać).

Marina, która tu wyraźnie dowodzi, odpowiada mechanicznie, jakby puszczała po raz setny tę samą płytę, którą odtwarza dziennikarzom odczytującym pytania z kartki.

– W ogóle nas to nie interesuje. Nie mamy czasu, żeby dopytywać. Jutro pójdziemy na obiad, to dopytasz, zaproszenie mamy – mruga okiem.

– Zima jest – dodaje Micek.

– Zima jest i ludzie zamarzają – dodaje Vadim, w przeszłości nauczyciel matematyki, obecnie, jak mówi, największy w załodze specjalista od odmrożeń

(bym się brzydził, serio).

– Dowozimy ubrania i żywność, sortujemy, przerzucamy, rozdajemy. Jak ktoś ma stopy albo dłonie odmrożone, wieziemy do szpitala, albo sprowadzamy Lekarzy Bez Granic. Tyle – mówi Marina i upija połowę rakii. Potem zaczyna rysować na serwetce mapę terenu. Tu fabryka, tu płot graniczny, tam jamy Afgańczyków, tu za domami chłopci z Peszawaru. Wszyscy w kolejce do granicy, cierpliwie, mimo mrozu, oczekujący na okazję.

Kawałek świata, w którym Micek i jemu podobni mają po szyję roboty.



## 6.

Wyjechaliśmy o trzeciej nad ranem, moją czarną karawelą, wyładowaną po brzegi niebieskimi workami z odzieżą i butami. Jechało się świetnie, w Chyżnem byliśmy po niecałej godzinie, potem Bańska Bystrzyca i śniadanie przed granicą węgierską.

Pruliśmy przez środek zimnej Europy, przez stacje narciarskie, schludne wioseczki i całkiem zamożne miasta, koło zamków i fabryk, prawidłowo wyasfaltowanymi drogami, wymijając przyzwoite auta i zachowując przepisy. Wszystko tkwiło na swoim miejscu, środkowa Europa spała w ten lutowy poranek słodko jak rodzynek w cieście. Micek chrapał na siedzeniu obok, przykryty śpiworem.

Przypominały mi się dawne obrazy, wyłaziły z zakamarków pamięci, niepewne i rozchwiane jak po długim śnie. Dawno temu jechaliśmy przecież tą trasą w innych okolicznościach. Razem z Mickiem i jego ówczesną dziewczyną po maturze wybraliśmy się autostopem daleko na wymarzone południe, bez pieniędzy i namiotu, ale za to z żądzą przygód. W Chyżnem koczowaliśmy całą noc w zagajniku, przy ognisku, śmierdziliśmy dymem jak wędzarnia. Kradłem parówki i serki liliputy w austriackich supermarketach, żeby nie zdechnąć z głodu. Spaliśmy na dworcach, w polach, na zapleczach stacji benzynowych. Przez miesiąc objaliśmy się po miastach i przejściach granicznych, żeby w końcu stanąć twarzą w twarz z pijanym celnikiem chorwackim, który zażądał okazania gotówki, stu dolców na głowę. Nie mieliśmy tyle

na troje, więc kazał nam spierdalać. Wróciliśmy do kraju na ostatnich nogach, brudni i przestraszeni, bo na Sudbanhof chcieli nas okraść. To był zaledwie miesiąc, upalny miesiąc, z opcją powrotu do domu rodzinnego.

Ponad dwadzieścia lat później przejeżdżaliśmy przez martwe punkty graniczne, nawet nie zwalniając, stać nas było na kawę i kanapkę na stacji benzynowej, auto pracowało sprawnie. Mogliśmy zatrzymać się w hotelu, miałem ubezpieczenie w razie wypadku. Tak się potoczyło, choć mogło potoczyć się inaczej – nie przyszła w międzyczasie wojna, ani żadna klęska żywiołowa nie wygoniła nas z domów. Tak, po dwudziestu latach byliśmy względnie zamożni i zadowoleni.

Na granicę węgiersko-serbską dotarliśmy jeszcze przed zmrokiem.

# 7.

Czternastolatek ma na imię Muhammad i rano wygląda nieco lepiej. Mówi cztery słowa na krzyż po angielsku, a szkoda, bo chciałbym go zapytać o poparzone ręce, o to, skąd przyszedł i dlaczego. Dajemy mu leki i gorącą herbatę. Stayhere, brother, stayhere, youunderstand? Kiwa głową

(co mi z tym synem ciągle, trzeba zadzwonić, synu, co u ciebie, jak się masz, nie graj tyle w gry).

W sobotni poranek targ wypełniony jest po brzegi ludźmi. Można kupić wszystko: chińskie badziewie, kiełbasę z mangalicy, miód i owcze sery. Mieszkańcy przechadzają się niespiesznie, niektórzy długo deliberują ze sprzedawcami. Innego niż biały koloru skóry nie widać

(jak ja się cieszę, że nasza sytuacja gospodarcza jest stabilna).

– Zasada jest prosta: mogą sobie mieszkać w polach, ale do miasta nie mają wstępu. Miasto ma być białe. Jak złapią ich gliniarze, płacą łapówki – tłumaczy Micek. – Ale i tak ludzie reagują przyzwoicie. Jak była wojna, do Suboticy ściągnęli serbscy uchodźcy, więc dla nich to żadna nowina, że ktoś ucieka, albo śpi zimą w namiocie.

Wczesny obiad jemy z grupą Radży. Wieziemy tam kilkanaście paczek z magazynu. Prawdziwy obiad, tłusty i pożywny. To potrawa jednogarnkowa. Na dziesięciu chłopów mają ponad

2 kilogramy kurczaka, głównie skrzydełka pocięte na drobne kawałki. Pod drzewem w misce czekają bańki z olejem, sos pomidorowy, siatka cebuli i zielonej pikantnej papryki.

Choć świeci słońce i niebo bezchmurne, zimno jak cholera. Mówią, że w styczniu temperatura spadała do minus dwudziestu. W takim mrozie każdy ruch jest męczarnią, łatwo o odmrożenia, kontuzje bolą podwójnie, przez zbyt cienkie podeszwy zimno wchodzi w nogi

(pamiętam, że na studiach mieliśmy taki wiersz, jak on szedł? Nigdy naprawdę nie marzęm, nigdy nie gryzły mnie wszy).

Za drzewami przejeżdża powoli pasażerski skład do Nowego Sadu, jak się dowiaduję, dymi ognisko, na gałązce przycupnął zamarznięty rudzik i jest to wydarzenie przez mieszkańców obozu szeroko komentowane. Za nasypem potężna góra śmieci przesłania horyzont. Zimno i nudno. Schowany pomiędzy skarpą a pasem trzcinowisk obóz składa się z dwóch namiotów zbudowanych z grubych plandek i klepiska. Grupa Radży mieszka ekskluzywnie. Wnętrze namiotu wykonanego z folii i śpiworów wysprzątane tak, że na szarych kocach z pomocy humanitarnej nie znajdziesz pyłka.

Radża, dobrze zbudowany trzydziestolatek z Islamabadu o pięknym angielskim akcencie, czeka w tym miejscu, wśród suchych trzcin, drugi miesiąc, zabunkrowany piętnaście kilometrów od granicy, do której łatwo trafić za Gwiazdą Polarną

(zamszowi, ciapaci, silni ludzie, trzeba przyznać, jednej nocy bym w tym namiocie nie wytrzymał).

Na ognisku bulgocze olej i skwierczą kawałki kurczaka. Siedzimy na starych krzesłach i skrzynkach po lemoniady, pod parasolem reklamującym piwo Gerber's OldGold, dym gryzie w oczy. Wodę pijemy z kubła po farbie Kosmos.

(zachoruję, no dobra, albo w lewo, albo w prawo).

Na drzewie siatki z jedzeniem wiszą niczym owoce. Wieści o Europie i świecie przelatują nad ogniskiem. Na przykład Barcelona jest rajem. Dużo znajomych, miasto piękne, zamożne i dokumenty stałego pobytu łatwo otrzymać. Dobry jest też Berlin, w Wiedniu łatwo znaleźć krewnych albo przyjaciół, albo przyjaciół przyjaciół.

Donald Trump to wielki człowiek, ponieważ szczerze mówi to, co myśli. Obamę grupa z Pakistanu rozgryzła już dawno – to jeden z tych, którzy podają ci rękę, a za plecami trzymają drugą, z mocno zaciśniętym w garści nożem, dlatego dobrze się stało.

Tak sobie gadamy. Z pendzabskiego na angielski.

– Puściłbyś żonę z dziećmi w taką podróż? – pyta cicho Micek.

Wzruszam tylko ramionami

(ponieważ nie puściłbym za nic).

Radza nie bardzo pali się do opowieści o przeszłości, jak wszyscy,

którzy dotarli pod granicę. Okutany w grube ubrania, z brudną, założoną do góry nogami opaską narciarską na głowie, w niczym nie przypomina mężczyzny ze zdjęć, które pokazuje na swoim ajfonie. Na jego profilu FB widać szereg fotografii: dobre ubrania, szisza, galerie handlowe w Islamabadzie i Zjednoczonych Emiratach Arabskich, szybkie motocykle i samochody terenowe, zakończone deportacją po wygaśnięciu wizy studia w Londynie – tak żył.

Ale co się stało? Dlaczego?

Nie ma tam wojny

(a może jest, tylko o tym nie wiem)

(o, proszę, jaki ajfon piękny. To nie ma co jeść, a ajfona trzyma?).

– W Pakistanie nie ma dla mnie przyszłości. Musiałem wyjechać – mówi spokojnie i na tym konkrety się kończą. Będzie prawie rok, jak wyruszył z całą grupą z Islamabadu, przez Iran, Turcję i Bułgarię. Wyszli, kiedy wiadomo już było, że Europa ich nie chce, a na granicy serbsko-węgierskiej powstaje wysoki płot otoczony drutem żyłkowym. Nie było wyjścia.

Nic nie wiem, brakuje konkretów. Po prostu spakowali niewielkie plecaki i ruszyli na zachód, szukać lepszego życia. Bez żon i dzieci, o ile już je mają.

Pewne szczegóły można jednak zrekonstruować – pojawiają się na marginesach, wypowiedane półgębkiem i nie wprost.

Taka podróż kosztuje majątek: tylko przejście granicy macedońsko-serbskiej oznacza pięćset euro, które trzeba zapłacić szmuglerowi. Za przejście granicy i podróż do Wiednia płaci się znacznie więcej, bo nawet ponad tysiąka, ale tylko wtedy, gdy akcja się powiedzie. Wyjście mężczyzny traktowane jest jako długofalowa inwestycja, na którą często zrzuca się cała rodzina. Idzie najsilniejszy, taki, który ma szansę przeżyć.

Radza ma ajfona, białego, brudną opaskę tenisisty i niegdyś białe adidasy z odłóżką podeszwą w lewym bucie.

Ajfon, tłumaczą, jest największym skarbem, bo można dzięki niemu skontaktować się z rodziną. Najtaniej przez WhatsApp. Można pogadać, popisać, dowiedzieć się, co słyhać w domu. Poprosić o pieniądze, które lecą do Europy dzięki Western Union i zaprzyjaźnionym wolontariuszom.

W ciągu dwóch ostatnich miesięcy Radza granicę szturmował piętnaście razy

(piętnaście razy, kurwa, niemożliwe).

Kawałki kurczaka wyławiamy, olej trzeba odlać, przyda się na później. Teraz kolej na cebulę, która w rozgrzanym naczyniu mięknie błyskawicznie

(niemożliwe, ściemnia, na litość nas bierze).

Piętnasta próba Rady wyglądała tak: taksówkami podjechali pod granicę, w umówione miejsce. Zebrała się duża grupa,

ponad 50 osób, w tym młodzi chłopcy, jeden z nich, zdaje się, miał czternaście lat.

– Taki z bliznami na rękach? – dopytuje Marina.

– Nie wiem, ciemno było, nie widziałem jego rąk – odpowiada Radża.

Szli przed świtem, choć nie ma to specjalnego znaczenia, bo wszechobecne kamery wychwytyją każdy ruch. Samo przejście nie jest zbyt trudne: wystarczą nożyce do cięcia metalu i jesteś w domu. Przecinasz, zaczynasz biec. A chwilę później pojawiają się policjanci.

Radża mówi, że przyjechali z psami i kazali grupie usiąść w błocie. Na dzień dobry każdy dostał gazem po oczach, z bliska, żeby nie można było zapamiętać nazwisk i dystynkcji. Zabrali wszystkie telefony, kazali zdjąć buty,

(rozumiem, buty, buty, trzeba zadzwonić do firmy, zobaczyć, jakie są zlecenia),

pałkami bili po żebrach, lali po głowach lodowatą wodą. Na pewno robili zdjęcia i chyba nieźle się przy tym bawili, a część była pijana, znalezione telefony położyli na asfalcie i podeptali. Radża dostał pałką po splocie słonecznym. Potem zaczęli wpychać wszystkich do radiowozów. Potem znowu stali w rzędzie, Radża pamięta, że oczy miał zapuchnięte i nie mógł ich otworzyć. Ktoś stanął przed nim i krzyknął: „Hello, open youreyes”. Rozkleił więc zapuchnięte powieki i znowu dostał gazem.



Przez cały ten czas szczuli psami. A na koniec zabrali buty i wyrzucili na serbską stronę w Horgoš. Wracali bosy, poboczem, jakieś dwanaście kilometrów.

Radza opowiada bardzo spokojnie, waży słowa, robi długie przerwy, w międzyczasie podając passatę sąsiadowi. Unia Europejska go nie chce, a on musi dostać się nielegalnie do Europy. Dlaczego jednak Węgrzy szczują psami, zamiast po prostu wyrzucić na drugą stronę? Dlaczego serbscy policjanci potrafią zachować się przyzwoicie i nawet, gdy robią naloty, nie przyskają gazem po oczach?

Do sosu pomidorowego jeszcze pokrajana drobno zielona papryka. Dużo soli z przeciętej na pół butelki po wodzie. Trzeba mieszać wszystko i patrzeć, jak bulgocze

(żona pisze, żebyś nie zmarzył tam tylko, wracaj już do mnie). Radza bawi się białym jak porsche z jego profilu ajfonem, przegląda internet, bo podpięty jest na stałe. Jest spokojny, bardzo spokojny. Najmłodszy nie mogą znaleźć miejsca, wychodzą co jakiś czas na tory, żeby popatrzeć i wrócić

(zimno).

Ale jest w grupie Radży młody mężczyzna, Sanni z Islamabadu, niegdyś student ekonomii. Sanniemu chodzi niespokojnie noga. Fryzurę ma jak z żurnala – dół wygolony, fantazyjnie rozczochrana góra, w której utkwiły płatki popiołu, usztywniona pastą. Broda starannie przycięta, twarz gładka. Sanni dostał się nawet

na moment do obozu po węgierskiej stronie, dla czekających na azyl. Po dwudziestu ośmiu dniach (na śniadanie kromka chleba i tuńczyk, na kolację tuńczyk i chleb) zawrócili go do Serbii. Czeka na moment, w którym będzie mógł podniesionym głosem wypowiedzieć swoją gorycz, ponieważ nie jest sprawiedliwe, że Europa wie dobrze o przypadkach brutalności policjantów węgierskich i nie chce w żaden sposób interweniować; nie jest sprawiedliwe, że w Barcelonie można spokojnie spacerować nad morzem, podczas gdy pod Suboticą trzeba uważać, żeby nie odmrozić sobie rąk; nie jest sprawiedliwe, że ludzie marzną w polach, podczas gdy po drugiej stronie płotu inni ludzie przechadzają się z groźnymi psami.

Przez chwilę jest cicho i nastrój jakby odrobinę się zmienia.

Radża jest spokojny. Mówi, że na swoim profilu FB lubi umieszczać komentarze do Koranu. Na przykład taki, że jednym ze sposobów na znalezienie więzi z Allahem jest absolutna uległość wobec jego decyzji.

Jemy palcami, łąpczywie, gęsty sos pomidorowy okleja kawałki kurczaka niczym miód. W knajpkach Islamabadu nazywają to crispychickenwings. Zapominam, że w dobrym tonie jest posługiwanie się w czasie posiłku wyłącznie prawą ręką. Lodowata woda z kubła po farbie łągodzi pragnienie. Suche trzciny szeleszczą (gównno wiem właściwie).

Na koniec słodka kawa z mlekiem, przyrządzana w osmolonej

puszce po piwie. Plastikowy kubek, jeden na dziesięciu, przecieka.  
Przejeżdża pociąg, zimno jak cholera, napastliwy wyż nie chce  
odejść, nad pobliską górą śmieci kołują gawrony.

Kiedy będzie szesnasta próba, pytam.

Może dzisiaj wieczorem, uśmiecha się Radża.

## 8.

Druty kolczaste przedzielające uśpioną równinę, nowe, lśniące, na poboczu wielkie stalowe śluzy na kółkach, dzięki którym błyskawicznie można zamknąć przejście. Dawno niewidziana kolejka.auta z przypasanymi sznurkiem tobołami na dachach. Egzotyczne blachy. Aura lekkiego zdenerwowania, nieodłączny składnik powietrza na każdej poważnej granicy. Zdążyłem już zapomnieć, jak pachnie granica, i jak to jest, kiedy pijany pogranicznik nie chce przepuścić na drugą stronę.

Celnik kelnerskim ruchem ręki wskazał pobocze. Wiedziałem, Micek, wiedziałem, że będą kłopoty, mówiłem ci, że butów nie wolno wwozić bez papierów i wcześniejszej dezynfekcji.

– Nie panikuj, patafianie, ja to załatwię.

Odsunąłem drzwi.

– Co wieziecie? – celnik mówił całkiem przyzwoitą angielszczyzną.

– Trochę ubrań do Aten – odparł Micek.

– Trochę?

– Tak, trochę, na własne potrzeby i dla przyjaciół.

Celnik pomacał jeden worek, potem drugi, trzeci. I zbystrzał nagle.

– Buty? Po co wieziecie tyle butów do Aten?

– Dla przyjaciół, dla nas.

Słabe to było. Cofną nas, pomyślałem, cofną, trzeba to będzie wszystko wypieprzyć do rowu, może komuś się przyda.

Zniknął na chwilę, widziałem, jak rozmawia z przełożonym, patrzą na moją zajebistą karawelę w leasingu, w końcu wraca, oddaje paszporty z jakąś rezygnacją czy obojętnością i powtarza dwukrotnie to zapomniane słowo, o którym marzyliśmy na każdej granicy „jechać, jechać”.

Za granicą zmieniło się wszystko. Świat nagle zbiedniał, pochylił się trochę i złuszczył, zza horyzontu wynurzyły się stare drzewa owocowe, chałupiny o niejasnym statusie, nie wiadomo, czy jeszcze zamieszkałe czy już rudery. Na poboczu grupa śniadych mężczyzn zdążająca znikąd donikąd. Pojechaliśmy od razu do Suboticy, żeby zrzucić worki i zapakować już przygotowane przez Marinę paczki dla mieszkańców starej fabryki.

Na paczkach dziesiątki imion, jak ślady nieznanych mi historii. Buty, góry butów z całej Europy, letnich, jesiennych, zimowych, nieśmiganych i zdartych ze starości.

Wajid.

Imran Haider.

Tajammal.

Muhammad Khan.

## 9.

Po obiedzie znowu ruszamy w stronę starej fabryki. Tym razem, w świetle dnia, widać wszystko

(dwa dni, a jakbym siedział tu miesiąc na przyspieszonych kursach polityki międzynarodowej).

Do zasnutych dymem ruin ściągają na wydawany z kotła obiad mieszkańcy położonych w pobliżu obozów. Ci z jam wykopanych w ziemi, zrujnowanych chat, namiotów klasy de luxe. Są Afgańczycy (z grupami pakistańskimi żyją na dystans), są ludzie tak powyginani od chorób i mrozu, że kroczą jak pijani, są tacy, którzy dumnie prezentują złote zegarki na rękach i nowe ajfony. Wszyscy karnie ustawiają się w szeregach po miskę z zupą, owinięci kocami, w damskich kożuchach, dziecięcych rękawiczkach, z szalikami zawiązanymi wokół twarzy. Na nogach przegląd mody obuwniczej ostatniej dekady – są śniegowce, timberlandy, glany, napompowane adidas, lakierki dobre na spotkanie korporacyjne, crocsy. Są plastikowe sandały, gumowce ze ściętą cholewą, buty obwiązane taśmą klejącą.

Kiedy wolontariusze odjeżdżają z pustymi kotłami, w ruinach cegielni rozpoczyna się przygotowanie do marszu – mieszkańcy pakują plecaki, zawiązują sznurówki w butach, ciasno spinają koce i znikają jak duchy. Niektórych widzę jeszcze przez chwilę, jak idą nasypem kolejowym w pęczniejącym zmierzchu i mgle. Jedni kierują się w stronę granicy, inni zapadają w równinę,

żeby spędzić na niej kolejną noc.

Po zmroku jedziemy do magazynu. Otwieramy worki przywiezione ciężarówką z Włoch: Marina i Vadim rozdzielają ubrania powoli, buty pod ścianę, kurtki na paletę, rękawiczki i czapki do wielkiego kosza. Jest tego morze – mógłbym zostać miesiąc, a i tak nie posortowalibyśmy wszystkiego

(piętnaście razy, piętnaście razy).

– Zrozum, że oni nie mają do czego wracać – mówi na pożegnanie Marina. – Jedni uciekają przed biedą, ci przed wojną, tamci kochają nie tak jak trzeba i nie chcą, żeby poderżnęli im za gardła. Przed suszą, polityką, przed nudą, do sąsiada, gdzie trawa jest bardziej zielona. Problem w tym, że u nas naprawdę trawa lepiej rośnie, rozumiesz?

(nie odpowiadam, Marina, bo i co mógłbym mówić).

W domu zaglądamy do pokoju Muhammada. Zniknął bez śladu, pozostawiając po sobie równo posłane łóżko. Marina przyjmuje tę wiadomość spokojnie: może właśnie przechodzi na drugą stronę, może wraca do Nowego Sadu, a może robi sto innych rzeczy. Zrobiliśmy, co trzeba było zrobić.

Przed snem palę papierosa, szukając Gwiazdy Polarnej, i miesza mi się wszystko – widzę ajfony, odmrożenia, góry butów w Auschwitz i w magazynie, mężczyźni skulonych w pozycjach embrionalnych na betonowej podłodze, nasze dawne żebrackie podróże na południe i nowe pielgrzymki na północ

(z Islamabadu tutaj jest jakieś 5 tysięcy kilometrów, dokładnie nie wiem, bo via michelin nie może zliczyć kilometrów, nie ma takiej trasy, o, panie, pięć tysięcy na piechotę, łódką, w przyczepie tira).



# 10.

Rano budzę się skostniały z zimna, piec, w którym rozpaliliśmy wieczorem, zdążył już dawno wystygnąć. Zasnąłem w opakowaniu, w getrach, spodniach i swetrze, pod dwoma śpiworami. Micek chrapie obok mnie.

Czas wracać, firma wzywa, dzieci tęsknią, kot znad jeziora Van się pochorował. Nie budzę Micka, który w międzyczasie zmienił plany życiowe. Chce tu jeszcze chwilę zostać. Wsuwam mu tylko w kieszeń spodni zajebistą latarkę od syna

(latarka ważna rzecz).

Jadę przez przejście w Kelebii, żeby uniknąć kolejki. Opowiadała mi o tym miejscu Marina: tu czekają na okazję Algierczycy, Egipcjanie, Marokańczycy, Erytrejczycy, kilka rodzin syryjskich. Kocują pod samymi drutami, w zamkniętym motelu i opuszczonych budynkach granicznych, bez szans na legalne wejście do europejskiego raj. Dni mijają im na spacerach pomiędzy sklepem spożywczym a drutami. Mimo chłodu potrafią siedzieć całymi godzinami, patrząc na drogę, którą nie nadjeżdża żadne rozwiązanie, chyba że brać pod uwagę samochody ciężarowe i ich podwozia

(ciekawe, dokąd ten młody poszedł, czy spędził noc w cegielni, nie mogę się uwolnić, te poskręcane od zimna ciała na podłodze, ja je gdzieś widziałem).

Płot jest nowy, szczelny, rdza nie zdążyła się jeszcze do niego dobrać. Na płocie kamery, wokół ułożony w nieskończone spirale drut kolczasty żyłkowy ostrzowy. Podobno na drutach część przybyszów suszy pranie. Teraz wiszą na nim porwane ubrania, sztywne od mrozu.

Wzdłuż płotu równym krokiem idzie dziesięcioletni na oko chłopiec o ciemnej karnacji skóry. Idzie tak, jakby zmierzał do szkoły albo na zakupy w dobrze znanej okolicy. Za płotem jednolicie białe pola i dobrze utrzymana droga, żeby wóz patrolowy mógł się szybko przemieścić. Węgry

(dobrze mi się kojarzyły, tokaj, mangalica, salami, palinka, fajni ludzie, ciepłi tacy).

Przejeżdżam bez problemu i ruszam przez wielką, pustą po horyzont równinę. Wydaje mi się, że widzę ich wszystkich na skraju horyzontu – niejasne, pochylone postaci, zmierzające na przełaj w kierunku północnym: Radzę w brudnej opasce tenisowej, chorego Muhammada, wkurwionego Sanniego. Mają ciepłe rękawice i dobre buty, idą w stronę Berlina i Wiednia, cierpliwie, bez możliwości odwrotu. Puchowe kurtki, Radża niczym trener z upadłego klubu, czternastolatek wygląda jak z austriackiego schroniska górskiego. Razem z nimi drobna Marina w jaskrawo-żółtej kurtce i czerwonej czapce, widoczna z daleka jak latarnia morska i Vadim – specjalista od oparzeń, i jeszcze ten lekarz z domu jednorodzinnego, za chwilę dołączy Micek. Idą i żadna siła nie jest w stanie ich powstrzymać, ponieważ za sobą mają

wyłącznie spaloną ziemię, wykopane pod płotem jamy, ruiny fabryk, w rodzinnych miejscowościach leje po bombach i wysuszoną na kość glebę, która nie urodzi już niczego.

Zatrzymuję się w Soltvadkert na kawę w jakiejś cudem czynnej mimo niedzieli cukierni. Kościół i wieża kościelna, straż pożarna, magistrat, ulice wymiecione z ludzi. Jest podejrzenie cicho i spokojnie, na pewno z wieży kościelnej dużo widać, na pewno są przygotowani i wiedzą wszystko, pewnie celnicy mieszkają tu wraz z rodzinami. Na mapie widzę, że mam stąd dwie drogi powrotne do wyboru.

Mogę jechać na wschód do Kecskemet, albo na zachód, do Solt i potem w górę, wzdłuż Dunaju, na noc, jeśli dobrze wszystko pójdzie, dojadę do domu

(mam jeszcze chwilę do namysłu).

„Stowarzyszenie Amnesty International Polska obchodzi w 2020 roku 30-lecie swojej działalności. W tym czasie wspólnie z Wami walczyliśmy o prawa człowieka biorąc udział w protestach, zbierając podpisy pod petycjami, cyklicznie organizując Maraton Pisania Listów. Mimo zmieniających się okoliczności zawsze motywowały nas nadzieja i wolność.

Z okazji tego jubileuszu realizujemy wyjątkowy projekt, który powstaje we współpracy z polskimi twórcami i twórczyniami literatury oraz agencją kreatywną 180heartbeats + JUNG v MATT. „Wierzimy w wolność” to zbiór opowiadań o prawach człowieka”.

Poznaj te historie na: [amnesty.org.pl/wierzimy-w-wolnosc/](https://amnesty.org.pl/wierzimy-w-wolnosc/)

#30AmnestyPL

